

Namiętności

Z niego już nic nie będzie, prawda? — zapytała siostra. Podeszła do doktora i pochyliła się obok niego nad umierającym. Swym ramieniem dotknęła barku lekarza i ten odsunął się.

— Nie — powiedział.

— Umrze?

— Na pewno.

— Jeszcze dziś?

— Niedługo. Godzina, może jeszcze wcześniej.

— Dlaczego on to zrobił? Jak pan myśli?

— Nic nie myślę — powiedział doktor. Wyprostował się; był wysoki i szczupły, biały fartuch dodawał zmęczenia jego ostrej twarzy. Przesunął ręką po czole: —Nigdy się tego nie dowiesz.

— Strach? — powiedziała siostra składająca strzykawki do niklowego pudełeczka. — Może się czegoś bał? Może mu coś groziło? Albo zrobił coś złego...

Patrzyła na doktora ze skupieniem; oczy miała niebieskie i czyste, bardzo duże. "Lalka — pomyślał z niechęcią. — Porcelanowa lalka..." Zachnął się.

— Chciałabyś jednym słowem wyjaśnić klęskę cudzego życia — powiedział z gniewem odwracając się do niej plecami. — To niemożliwe. Podeszedł do okna i odsunął firankę; chciwie przytulił czoło do szyby i odetchnął głęboko. Widział w szybie niewyraźne odbicie swojej twarzy; wyteżył wzrok i starał się dojrzeć jak najwięcej. Noc była jasna i mroźna; na środku szklanego nieba tkwił nieruchomy, dziwnie cienki księżyc; w jego blasku oszronione drzewa na szpitalnym podwórku wyglądały teatralnie i drażniąco. Wiatry mknęły w górze szlakami gwiazd, ciemna ziemia skuta była mrozem i lodem. "Jeśli się nie ociepli — pomyślał z wściekłością doktor — to wszystkich nas szlag trafi w tej dziurze". Odwrócił się i powiedział do siostry:

— Zobacz, czy jest jeszcze trochę kawy.

— Gdzie?

— W moim biurku. Tam jest taka żółta puszka. Posłusznie podeszła do biurka i poczęła trzaskać szufladami. Patrzył na jej mocne ręce, okrągły kark, szeroko rozstawione, muskularne nogi i znów pomyślał: "Lalka".

— Jest — powiedziała po chwili.

— Zaparz.

— Jedną czy dwie?

— Jedną. Westchnęła.

— Pójdę poszukać garnuszka.

— Dziwne. Powinien przyjść do ciebie.

— Doktorze.

— Tak.

— Dlaczego pan taki jest?

— Mianowicie?

— Zły — powiedziała. — Dziwny.

— Dlaczego masz nie oczyszczone buty? Radzieccy uczeni wynaleźli już—pastę do butów. Poza tym nie używaj do paznokci tego wstrętnego lakieru, bo mdło ni się robi. Poza tym przestań się już czesać na Simone, bo jesteś podobna do niej w takim samym stopniu, w jakim ja jestem podobny do marszałka polski. A teraz idź po ten garnuszek.

Wyszła, Spojrzał na zegar wiszący nad drzwiami: była godzina druga, Machinalnie podszedł do umierającego i ujął jego puls. Zrobiło mu się nieprzyjemnie: ręka tego człowieka była zimna i lepka od potu. "Nie przyzwyczaję się nigdy — pomyślał ze złością. — Nie przyzwyczaję się nigdy do tych spoconych ciał i oczu z tandetnego szkła". Zacisnął mocniej palce na rozdętych, fioletowych żyłach tamtego: nierówny puls słabł. "Cześć" — pomyślał. I wtedy zobaczył, że umierający patrzy na niego szeroko otwartymi oczyma; źrenice jego poszerzyła gorączka, w kącikach ust skupiła się zapiekła ślina. "Nie jesteś ładny — pomyślał. — Nie powinienem się o to martwić, ale naprawdę nie jesteś ładny". Pochylił się bliżej jego ucha.

— Możesz mówić?

— Będę żył?

— Nie denerwuj się. Mów spokojnie.

— Będę?

— Oczywiście. Chory odwrócił twarz.

— Kłamiesz — szepnął.

— Z obowiązku. Sam tego chciałeś. Gazowa śmierć to przykra historia. Był czas przemyśleć.

— Chcę ci coś powiedzieć.

— Tak.

— Wszystko, czym straszą nas na ziemi, czym szantażują bez przerwy, to bluff. Żadnych cierpień, żadnych wyrzutów, żadnych rachunków sumienia. Trochę szumu w uszach i koniec.

— Jeszcze żyjesz. Może uda się cię uratować. Źrenice chorego białe. Na jego przezroczystych skroniach kropli! się pot. Oddech stawał się ciężki, a ręce złożone na piersiach drgały mu lekko, jak nogi żabki wyciągniętej z wody.

— Kto mnie tu przywiózł?

— Ludzie.

— Zawsze zjawiają się niepotrzebnie. Już byłoby po wszystkim.

Po chwili doktor rzekł: — Już jest po wszystkim.

Naciągnął prześcieradło na jego twarz i wstał. Zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko: tytoń był mocny i gorzki. "Zimno — pomyślał. — Jeśli się nie ociepli, to naprawdę szlag nas wszystkich trafi". Potarł zziębnięte dłonie i usiadł przy biurku. Wyciągnął książkę raportową i począł szukać nazwiska zmarłego. Weszła siostra trzymając w ręku filiżankę.

— Jest kawa — rzekła. — Niech pan pije, póki gorąca.

— Nie mogłaś już chyba dłużej siedzieć — powiedział. — Nawet kawy nie potrafisz szybko zaparzyć, tak jakby to była nie wiem jaka sztuka. Przez ten czas nasz przyjaciel doszedł już do raję. Dzwon do kostnicy. Niech go zabiorą. I nie rozlewaj kawy. Gdzie cukier?

— W szufladzie — rzekła stawiając przed nim filiżankę. Podeszła do aparatu i poczęła wykręcać numer; mimo wysiłku ręce jej drżały lekko. — Parter? — zapytała drewnianym głosem. — Biercie wózek i przychodźcie tu szybko.

Położyła słuchawkę i oparła się ciężko na stole. Patrzyła na doktora ze skupieniem. Milczał mieszając łyżeczką cukier.

— Co jemu było? — zapytała tępo.

— Śmierć na skutek zatrucia gazem.

— Pan nie ma serca.

— Jeśli cię to interesuje, mogę jutro iść do rentgena.

— Dlaczego pan tak mówi? Uniósł ciężkie powieki.

— Czy tam w szkole nie uczyli cię tego, że nie powinnaś zadawać głupich pytań i opierać się łokciami o stół?

Weszło dwóch sanitariuszy z wózkiem; jeden z nich był wysoki, drugi nieco niższy, o śmiesznie okrągłej głowie. Podeszli do umarłego.

— Mały był — stwierdził wyższy.

— Ale sympatyczny. Podobny do tego bramkarza ze Skierniewic — powiedział niższy i mrugnął na siostrę. Odwróciła głowę.

— Twoja miara — powiedział wyższy. — Ciekaw jestem, czy też nosił siódemki. Uwważaj,

ostrożnie.

— Myślę, jakie radio mu kupią: z ocementowaniem czy bez?

— Stawiam na cement.

— W porządku. Dobranoc, panie doktorze. Dobranoc, siostrzyczko. Nie myśl o nim.

Pomyśl może o mnie.

— Dobranoc — powiedział doktor. Patrzył, jak drzwi zamykają się za nimi.

— Ja tego nie wytrzymam — powiedziała siostra i wstała nagle. — Kiedy kończyłam tę głupią szkołę, myślałam, że ludzie dla ludzi mają trochę serca. Doktorze.

— Mów.

— Czy naprawdę nie istnieje miłosierdzie?

— Z mego punktu widzenia istnieją ci, których da się uratować, i ci, których nie można.

— Ja tego nie wytrzymam. Odchodzi człowiek, a pan pije kawę. Odchodzi człowiek, a tamci zakładają się o wódkę, jaką trumnę mu kupi rodzina — z ocementowaniem czy z okuciem. Ja tego nie wytrzymam.

— Wytrzymasz — powiedział. — Nawet wyobrażenia nie masz, ile można wytrzymać — wstał i rozprostował ramiona, ziewnął. Począł chodzić miarowym krokiem po sali. — Wypisz mu kartę zgonu — powiedział. — I nie zwracaj sobie głowy tą całą sprawą. Weź walerianę, weź brom, co chcesz.

— Dobrze — powiedziała cicho. Wyglądała żałośnie: usta miała skrzywione jak dziecko, które wybuchnie za chwilę niepohamowanym płaczem, oczy — w ciemnych obwódkach. W jej plecach, rękach, w pochylonym nad stołem karku czaiło się zmęczenie. Nagle uniosła głowę. — Czy naprawdę tak wiele?

— Co?

— Tak wiele można wytrzymać?

— Ile masz lat?

— Dwadzieścia.

— Dlatego pytasz.

— Kiedy człowiek przestaje się dziwić?

— Nigdy.

— Więc po co to wszystko?

— Po nic.

Rozległ się dzwonek: na tablicy rozdzielczej wyskoczyła cyferka. Siostra potrząsnęła głową jak człowiek nagle przebudzony i podniosła się ciężko.

— Na trójce ktoś dzwoni — rzekła. — Muszę iść.

— Przeżyję to.

Wyszła kołysząc miarowo swym ciężkim, mocnym ciałem. Patrzył za nią i pomyślał: “Nic z tego, kochanie. Nic z tego, żebyś nawet miała w ten sposób chodzić po gwiazdach. To prawda, że masz niskie czoło, krótki, zadarty nos, ciężkie powieki i duże usta, i płaski brzuch, dzięki któremu możesz tak ładnie rozstawiać nogi, i że tak wiele obiecujesz, kiedy patrzysz swoimi głupimi oczami, i że pachniesz tak bardzo delikatnie, jak bułeczki dopiero co przywiezione z piekarni, i że zapach ten nawet tutaj, w tym całym świństwie, czuję wyraźnie. Ale w tych sprawach musisz być piekielna noga. O takich jak ty marzą uczniowie w liceum, ja też marzyłem, ale tylko do chwili, kiedy poznałem taką samą jak ty, z takimi samymi oczyma, tak samo pachnącą. Biedne, ciężkie krowy. Nie dość, że leżycie bez ruchu, ale jeszcze tak się musicie męczyć podczas porodu, w przeciwieństwie do szczupłych, takich, za jakie nie dałby nikt pięciu groszy, które kochają i rodzą jak ptaki”.

Podszedł do ona i znów przytulił czoło do szyby. Czynił tak zawsze, kiedy był już bardzo zmęczony, podczas nocnych, dręczących brakiem snu dyżurów, kiedy zdawało mu się, że za chwilę zwali się z nóg jak szmaciana lalka, którą wypuściło ze swych rąk dziecko. Za oknem tężała gęsta od mrozu noc. Księżyc zniżył się i biegł po dachach; nad wieżami kościoła szamotała się w mroźnych mgłach Wielka Niedźwiedzica.

Odwrócił się i spojrzał na łóżko, na którym zmarł ów człowiek. Było już zasłane czystym prześcieradłem, gładkie i zimne. “Wiele po tobie zostało — pomyślał i uśmiechnął się. — Widzisz, mój zasrany Werterze, tylko tyle. Czy zrobiłbyś to, gdybyś wcześniej mógł przypuszczać, że tak to wygląda? Zrobiłeś swojej wybrance kolosalną reklamę, będzie teraz miała noc w noc kupę radości, będzie opowiadała o tobie nowym przyjaciółom, nie dla każdej kobiety człowiek przecież wali sobie w łeb, będzie więc opowiadać o tobie nawet w chwili orgazmu, mój zasrany Werterze z powiatowego miasta, a ja, chociaż przyjaźniłem się z tobą od pięciu lat, nie jestem w stanie myśleć o niczym innym, jak tylko o tym, że mi się piekielnie chce spać, i nic mnie nie obchodzi ta odrobina plotek, pogardy, żalu i wspomnień, która pozostanie po tobie. Jedyne, co ci mogę obiecać, to to, że jak będę robił twojej Lotcie skrobankę, to postaram się, aby pokrzyczała sobie trochę. Już teraz wolno to robić, więc nie będę potrzebował jej uciszać ani zakładać maski. Czy pomyślałaś o tym? Trochę plotek. Trochę wspomnień, w których zawsze będziesz inny, niż byłeś naprawdę. Ale nie miej złudzeń; zrobię wszystko, aby zapomnieć o tym jak najprędzej. Czy pomyślałaś o tym wszystkim, mój Werterze?” Do pokoju weszła siostra.

— Ten siwy staruszek, który leży przy oknie na trójce, skarży się, że nie może oddać moczu. Co mu poradzić?

— Zapytać się go, ile ma lat. Potem przyjdź i powiedz mi.

Wyszła. Znów począł chodzić po sali; przemierzał ją uparcie, sztywnymi krokami po przekątnej. Potem podszedł do oszklonej szafki, gdzie mdłym światłem lśniły niklowe narzędzia; oparł się o nią i stamtąd począł mówić do umarłego: “Tak, mój biedny Werterze. Ciekawe, w jaki sposób jednak ona potrafiła tego dokonać? Zazdrość? Kłamała? Zadręczała cię czymś, czego nie znam, czego nie potrafię się domyślić? Dlaczego nie zrobiłeś tego wcześniej? Kilka lat temu, kiedy obaj byliśmy młodszy? Wszystko najwspanialsze w młodości wydaje się potem po prostu głupie. Nic na to nie mogę poradzić, mój złoty. Ty przeszedłeś i ja przeszedłem. Mówię do ciebie jak truposz do truposza. Ale jak ona to zrobiła? Chciałbym to wiedzieć. Jakie namietności w tobie poruszyła? Czy takie, których nie znam? Och, namietności. Piękne słowo. Czym jest namietność? Co to oznacza? Kiedy pięć lat temu przyjechałem do tej dziury, byłem inny. Inaczej myślałem, czułem, mówiłem. Nie przypuszczałem, że życie czasem nie przynosi niczego poza wściekłością i rozpaczą. Chodziłem po tych brudnych uliczkach i myślałem o tym, jak to miasto będzie wyglądać za lat dwadzieścia. Stawiałem domy, wytyczałem nowe ulice; budowałem stadiony, parki, szkoły, muzea i szalety. Burzyłem kościoły, rozwaliałem knajpy, budowałem obozy pracy dla pijaków; zbierałem gwiazdy z nieba i rozświetlałem nimi ciemność przed każdym człowiekiem. Byłem wszystkim i wszędzie. Jak myślisz: czy to miało coś wspólnego z namietnością?”

— Doktorze — powiedziała siostra wchodząc. — On mówi, że ma sześćdziesiąt dwa lata.

— Kto? — zapytał nieprzytomnie wyrwany z zamyślenia.

— Ten staruszek, który skarży się, że nie może oddać moczu.

— To co?

— Mówi, że ma sześćdziesiąt dwa lata.

— Powiedz mu, że dosyć się już wysusiał. Niech nie zawraca głowy.

Wyszła. Pachniało środkami dezynfekcyjnymi; drażniła cisza i jaskrawe światło. Monotonnie cykał zegar. “Widzisz — pomyślał doktor. — A teraz już koniec tej bajki. Czy wiesz, jak by teraz wyglądał mój pamiętnik? Pani X — skrobanka. Pani Y — skrobanka. Minęło pięć lat od chwili, kiedy przyjechałem tutaj. Schudłem, postarzałem się, jestem świnią. Dziunia W — skrobanka. Żona kolegi R — skrobanka. Na obiad Jadłem flaki z pulpetami. Zdzisia szlag trafił, wylew krwi do mózgu, szkoda go, porządny chłopak, w szpitalu nawalają kaloryfery, mam katar, pokłóciłem się z Antonim, w szpitalu intrygi i podłość, w mieście intrygi i podłość, na świecie intrygi i podłość, w «Astorii» na rynku intrygi i podłość, podczas meczu Zryw—Bobierzyce —Entuzjizm—Kutno intrygi i podłość, żona Wacia —skrobanka, Dziunia symuluje ciężę, wczoraj był świetny bigos, wyleli mnie z partii, popsulo mi się radio, do

diabła z radiem, w szpitalu brak narzędzi, cztery dni padał deszcz, synek gospodyni jest niezdolny, to nie dziecko, to szatan, Żydzi znów się kłócą z Arabami, widocznie i jedni, i drudzy mają złe charaktery, Władkowi śmierdzi z pyska, ohyda, Apfelbaum zmienił nazwisko na Światosław Kamiński, żona Wacia — skrobanka, troszkę się spiłem wczoraj, dziś w klubie związkowym odczyt pt.: «Kiedy człowiek ujarzmi kosmos», śnieg pada, słońce świeci, trzydzieści stopni ciepła, wściec się można, lód na rzece. Ej, ten Wacio, flaki z pulpetami, flaki bez pulpetów, Polska to naród tragiczny, Polska to naród wspaniały. Żydzi kłócą się z Arabami, Waciowa, Waciowa, już po Waciowej, ile tak można, «Arkadię» przechrzczono na «Polonię», w tym roku będzie ciężka zima..."

— Doktorze — powiedziała siostra. — Czy pan ma zamiar go operować?

— Poczekamy jeszcze trochę. Przygotuj w każdym razie wszystko. Nie módl się na jego intencję. Może mu zaszkodzić. Poczęła szczerkać narzędziami. "Tak — powiedział do siebie. — A teraz? Jak teraz? Czy znowu się czujesz oszukany? Tak jak ja? Tak jak wielu? Masz teraz ciszę i spokój, czy znowu się czujesz oszukany przez życie? Może ty, kiedy zamykałeś oczy, wiedziałeś już, dlaczego tak się stało? Dlaczego tak mało miałem wiary, nadziei, wytrwałości, sumienia? Może nadszedł taki moment, kiedy zrozumiałeś wszystko? Dlaczego splajtowałem? Dlaczego stałem się niczym, dlaczego nie miałem siły doczekać lepszych dni? Dlaczego odszedłem od wszystkich i wszyscy odeszli ode mnie? Dlaczego żyję bez wiary i bez miłości? Kiedy będę miał siłę zrobić to, co ty uczyniłeś? Ty głupie, podłe ścierwo. Gdybyś wiedział, jak ci zazdroścę. Jak chciałbym zamienić się w tej chwili z tobą na miejsca. Jak bardzo bym chciał, abyś obudził się jutro, przeczytał gazetę i poszedł do pracy, i słuchał wszystkich ludzkich narzekań, i abyś nie miał pragnień ani miłości, abyś nie pragnął niczego poza tym, aby dzień się już skończył, i abyś mógł zasnąć, nie czuć, nie myśleć, nie wspominać tego, co było dawniej, nie dręczyć się wszystkim, nie myśleć o sumieniu, o tym, czego miałeś dokonać, i o tym, że niczego nie dokonałeś, i o tym, że niczego już pewnie nie dokonasz, bo jesteś wypruty, zmęczony, cholernie zmęczony, że chciałbyś być tak jak dawniej, że chciałbyś w coś uwierzyć, jeszcze raz w coś uwierzyć, i żebyś sobie zdawał z tego jasno sprawę, że jesteś świnią, że jesteś skończony, że nie masz nikomu niczego do dania, bo miałeś zbyt mało wiary i siły. Czy znów się czujesz oszukany? Od tego wszystkiego zbawiła cię twoja namiętna, niedobra miłość, ty głupi, zasrany Werterze. Czy nie zdajesz sobie z tego sprawy? Czy myślisz, że powiem komuś, że zabiłeś się właśnie dlatego? Zbyt cię lubiłem, mój stary. Tu jest małe, małe miasto. A my, ludzie, zbyt mało rozumiemy się jeszcze między sobą. Czy chcesz, żeby teraz zaczęli szperać i grzebać się w twoim życiu? Płotkować. Szydzić. Domyślać się. To ci niepotrzebne, mój drogi. To ci zupełnie niepotrzebne..."

Nagle począł się trząść. Ogarnął go strach; zimny i obejmujący jak żelazna obręcz. Rozglądał się po białej sali; patrzył na zegar, na szafkę z narzędziami, na okna, o które obijał się wiatr, na białe, gładko zasłane łóżko, i czuł, że za chwilę stanie się z nim coś niepojętego. Serce skurczyło mu się nagle i czuł, że kurczy się ciągle, że staje się coraz mniejsze i słabsze. Z trudem podszedł do gładko zasłanego łóżka i usiadł na nim. Zamknął oczy.

— Jestem gotowa, doktorze — powiedziała siostra. Otworzył oczy. Stała przed nim i patrzyła na niego.

— Chodź tutaj — powiedział.

— Co?

— Chodź tutaj — powtórzył.

Spojrzała na niego uważnie i usiadła obok niego; drżał jak człowiek bardzo podniecony i to sprawiło jej radość.

— Nie myślałem, że jesteś taka — powiedział po wszystkim. — Takie kobiety jak ty oszukują wyglądem.

— Dobrze?

— Tak. Bardzo dobrze.

— Przykro mi, że to na tym samym łóżku.

— Wcale o tym nie myślałem. Było mi dobrze i koniec.

— Ciągle nie mogę zrozumieć, dlaczego on to zrobił.

— Powiem ci, ale nie mów nikomu.

— Nie powiem nikomu.

— On był buchalterem w jakiejś firmie. Przekradł się. Wziął jednego dnia trochę pieniędzy z kasy; pojechał sobie gdzieś i przepił to wszystko z dziewczynami. Potem się wydało. Zrobił to ze strachu. Westchnęła.

— Ludzie robią takie głupstwa — rzekła. — Zabijają się i diabli wiedzą dlaczego. Temu zabrakło pieniędzy, ten wyleciał z pracy, tego skądś tam wyrzucili, a przedwczoraj jeden stary człowiek zgubił bilet miesięczny na kolejkę i to go tak rozzłościło, że się upił i poderżnął sobie gardło brzytwą. Do licha z tym wszystkim.

— Ubieraj się. Będziemy otwierać pęcherz.

— Ciągle to samo — rzekła zapinając guziki. Na jej lalkowatej twarzy odmalowała się złość. — Tego pęcherz boli, ten złamał nogę, a jak się już ktoś powiesi, to dlatego, że pogubił jakieś świstki. Kiedy kończyłam swoją szkołę, nie przypuszczałam, że tak będzie. Doktorze!

Siedział pochylony. Teraz uniósł głowę i spojrzał na nią roztargnionym wzrokiem.

— Tak.

— Chciałabym — powiedziała — aby tu chociaż raz przywieźli takiego, który by to zrobił z miłości. A pan?

— Bardzo — powiedział. — Bardzo. — Wstał, znów powróciła fala zmęczenia i musiał zamknąć oczy. — Pospiesz się — rzekł. — Pospiesz się i nie myśl o tym. Będziemy jednego z nas przywracać życiu.

1956